



Ponad

Do końca życia

czasem 3

Gabrielle Meyer

d





**Do końca
życia**



Gabrielle Meyer

TŁUMACZYŁA ANNA PLIŚ

Tytuł oryginału:

For a Lifetime (Timeless #3)

Autor:

Gabrielle Meyer

Tłumaczenie z języka angielskiego:

Anna Pliś

Redakcja:

Ewa Hoffmann-Skibińska

Korekta:

Dominika Wilk

Skład i opracowanie graficzne:

Anna Brodziak

ISBN 978-83-68304-02-2

Projekt okładki: Jennifer Parker

Zdjęcia na okładce: © Rekha Garton / Trevillion Images, © Ildiko Neer / Trevillion Images, © Dmytro Baev / Trevillion Images, upklyak / Freepik.com, freepik / Freepik.com

Wektory: myriammira / Freepik.com

© 2024 by Gabrielle Meyer by Bethany House Publishers,
a division of Baker Publishing Group, Grand Rapids, Michigan, 49516, U.S.A.

© 2025 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-016 Rzeszów
www.dreamswydawnictwo.pl

Rzeszów 2025, wydanie I

Druk: Drukarnia Normex

Książkę wydrukowano na papierze Ecco Book cream 2,0 70 g/m²
dostarczonym przez Antalis Poland sp. z o.o.

antalis™

Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie cytaty pochodzą z Biblii Tysiąclecia.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

*Moim córkom, Ellis i Maryn.
Każdego dnia wnosicie w moje życie nadzieję i łaskę.
Kocham Was z całego serca.
Mama*

Naucz nas liczyć dni nasze, abyśmy osiągnęli mądrość serca.

Ps 90,12



Część
pierwsza



Rozdział 1



· GRACE ·

WIOSKA SALEM
28 LUTEGO 1692

Dziwna to rzeczywistość stać na skraju tragedii i nie móc jej zatrzymać. Jeszcze dziwniejsza – mieć dwa równoległe życia i wiedzieć, że pewnego dnia będę musiała wybrać jedno z nich, a drugie porzucić na zawsze. Jednak taki właśnie był mój los od urodzenia. Dar, jak to określała moja mama, choć jestem przekonana, że mówiła to tylko po to, żeby ukoić obawy dziecka.

Dziecka urodzonego ze znamieniem osoby przenoszącej się w czasie.

Wyrabiałam ciasto na chleb w oberży ojca. Dłonie miałam całe w mące, ale mój umysł przebywał daleko od ciężkich warunków życia w wiosce Salem w 1692 roku – uciekał do wspomnień barwnego życia, jakie wiodłam w 1912. To jedyny sposób, żeby radzić sobie z trudami pracy tutaj i z tą wiedzą o procesach czarownic, które ruszą niebawem. Córka pastora Parrisa i jej kuzynka od sześciu tygodni cierpiały na dziwną chorobę i już szeptano między sobą, a wkrótce miały się zacząć oskarżenia i te wszystkie wydarzenia, których obawiałam się od dawna.

Wiązały się one także z ujawnieniem mojego mrocznego sekretu.

Podniosłam wzrok i obserwowałam, jak deszcz siecze w okna niewielkiej kuchni. Odgarnęłam na bok blond włosy, które wysunęły mi się spod białego czepca. Choćbym nie wiem, ile śniła na jawie, nie uratuje mnie to od tego życia, które tu wiodłam.

Na zewnątrz gospody od sześciu dni trwał sztorm, niosąc ze sobą nieustający wiatr, słotę i deszcz ze śniegiem. Jednak ta prawdziwa burza dopiero wzbierała na sile w zasnutych czarnymi chmurami umysłach i sercach mieszkańców Salem, którzy już wypatrywali ataku – czy to ze strony Indian z plemienia Abenaki, czy jakiejś duchowej rzeczywistości, która była jeszcze bardziej przerażająca i potworna.

Hope, moja siostra bliźniaczka, weszła do niskiej kuchni o drewnianym sklepieniu na tyłach Oberży Eatona i chwyciła suszoną figę z blatu. Gospoda to jedyny dom, jaki miałyśmy w wiosce Salem. Stanowiła centrum tej społeczności, a nasz ojciec, Uriah Eaton, jej właściciel, był najbardziej lubianym człowiekiem w hrabstwie. Hojny aż do bólu... jeśli tylko mu się to opłacało. Bezwzględny i przebiegły – gdy było inaczej.

– Sarah Good znów przyszła żebrać – powiedziała Hope.

Uformowałam bochen chleba i włożyłam go do miski, po czym przykryłam płócienną ścierką. Nic nie mówiąc, wytarłam dłonie w fartuch i sięgnęłam po parę słodkich bułeczek oraz kilka pieczonych ziemniaków prosto z pieca.

– Chyba nie zamierzasz jej dawać jedzenia, prawda? – zapytała Hope, marszcząc brwi. – Będzie wciąż tu przychodzić, jeśli ją będziesz karmiła.

Westchnęłam.

– Ma dwójkę maluchów do wyżywienia i nie mają domu. Co innego możemy zrobić? Zwłaszcza w taką pogodę jak dziś?

– Jesteś zbyt dobra, Grace, i sama sobie szkodzisz. Wiesz, że ojcu by się to nie spodobało.

– Ojca tu nie ma. – Położyłam jedzenie na kwadratowej płóciennej ścierce i związałam rogi, odsuwając od siebie wyrzuty sumienia, które popychały mnie do tej hojności. Gdyby tylko Hope знаła sekret, który od kilku minionych lat palił mnie w sercu, nie nazywałaby mnie dobrą.

Miałam już wyjść z kuchni, ale siostra zatrzymała mnie gestem ręki. Wydawałyśmy się identyczne, choć każdy, kto nas znał, potrafił nas od razu rozróżnić. Hope była nieco wyższa, bardziej smukła i rozmowna. Miała pieprzyk po lewej stronie koło pełnych ust, a ja nie. Jednak obie odziedziczyłyśmy takie same brązowe oczy, kręcone blond włosy skryte pod białymi czepcami i takie same delikatne rysy.

– Zaczynają o niej gadać – powiedziała cicho Hope tak, żeby pracująca u nas dziewczyna, Leah, nie usłyszała ze swojego miejsca przy kominku, gdzie dokładała do ognia.

– Każdy zawsze gadał o dobrodziejce Good – odparłam, próbując przejść obok siostry.

Hope pokręciła głową i widziałam w jej oczach niepokój.

– Stan córki pastora Parrisa i jej kuzynki się pogorszył... a teraz jeszcze młoda Ann Putman i Elizabeth Hubbard mają konwulsje. Oskarżają Sarah Good o to, że jest jedną z kobiet, które rzuciły na nie czar.

Zrobiłam krok w przód, ale Hope chwyciła mnie za ramię.

– Pozwól, żebyśmy stąd odeszły – błagała. – Wiesz, że możemy zmienić bieg historii i porzucić tę epokę. Tysiąc dziewięćset dwunasty jest taki tętniący życiem i obiecujący... Mogłybyśmy zostać tam już na zawsze i nie musieć tu wracać.

Wpatrywałam się w siostrę, młodszą ode mnie może o jakieś piętnaście minut, i w miarę, jak docierało do mnie, co sugerowała, moje usta same się zaciskały.

– Niebezpiecznie jest zmieniać bieg historii – odparłam. – Mama zawsze nas przed tym przestrzegała... – przypomniam jej. – Szczególnie, jeśli miałybyśmy działać z egoistycznych pobudek. Może się wydarzyć coś katastrofalnego i to byłaby nasza wina.

– Ale nie musiałybyśmy już dłużej znosić tej epoki, o której sam Bóg zapomniał. – Hope nie odpuszczała. – Mogłybyśmy zostawić za sobą te wszystkie trudy i znoje. Wiesz, że będzie tylko gorzej.

Ile to razy kłóciłyśmy się na ten temat?

Nasza matka w 1912 roku, Maggie Cooper, też była osobą przenoszącą się w czasie i to ona przekazała nam ten dar. Hope i ja urodziłyśmy się z takim samym znamieniem z tyłu głowy, jakie miała mama. Sprawiało ono, że przenosiłyśmy się w czasie między 1912 a 1692 rokiem. Kiedy kładłyśmy się spać w 1692, budziłyśmy się w 1912, a kiedy zasypiałyśmy w 1912, budziłyśmy się w 1692 i gdy nas nie było, czas się dla nas zatrzymywał. W dniu naszych dwudziestych piątych urodzin, 12 października, miałyśmy wybrać, którą epokę zachowamy, a którą porzucimy na zawsze.

Obie wiedziałyśmy, że nie zostaniemy w 1692, ale Hope zawsze chciała, żebyśmy wcześniej opuściły tę epokę, a jedynym sposobem na to było celowo zmienić bieg historii w XVII wieku. Gdybyśmy to zrobiły, straciłybyśmy swoje życie tutaj. Nasze ciała umarłyby w 1692 roku, a nasza świadomość i umysł pozostałyby w 1912.

Jednak to zbyt niebezpieczne. Łatwiej i bezpieczniej przeczekać do urodzin.

– Nie możemy zmienić biegu historii – odparłam szeptem, zaciskając dłonie na zawiniątku z jedzeniem. – Mogłoby to spowodować coś, co nie powinno się wydarzyć. Mogłybyśmy wywołać jakieś wojny albo okresy głodu... Albo coś jeszcze gorszego.

Nie warto, Hope. Nie w sytuacji, kiedy zostało nam tylko siedem i pół miesiąca.

Westchnęła ze znużeniem i frustracją.

– W porządku... ale jeśli ktokolwiek oskarży mnie o czary, już mnie nie powstrzymasz.

Serce ścisnęło mi się boleśnie na te słowa, bo znów otworzyły we mnie przepaść ziejącą mrokiem.

Nigdy nie byłabym w stanie przyznać się Hope, że to właśnie ja oskarżę ją o to pewnego dnia. Cztery lata temu niezbyt roztropnie pozwoliłam sobie na to, by zawładnęła mną ciekawość w tej drugiej epoce. Czytając o polowaniach na czarownice, zobaczyłam coś, co od tamtej pory nie przestało mnie prześladować. „Hope Eaton, córka karczmarza Uriaha Eatona, była kolejną ofiarą procesów czarownic z Salem po tym, jak oskarżyła ją jej własna siostra, Grace Eaton”.

Jak miałabym kiedykolwiek nazwać swoją siostrę czarownicą? To niepojęte, ale przecież historia nie kłamała.

A może kłamała?

Zamknęłam z trzaskiem książkę, zanim dowiedziałabym się czegoś więcej.

Co to znaczyło „kolejną ofiarą”? Nie odważyłam się tego zgłębiać i przysięgam sobie, że nigdy więcej nie będę znów próbowała szukać odpowiedzi.

– Nie mów tak – wyszeptalam, starając się ukryć niepokój w głosie. – Wiesz, co ludzie i tak już o nas myślą.

Minęłam Hope i przeszłam przez drzwi prowadzące do głównego pomieszczenia oberży. Ledwie minęło południe, a przy stołach siedzieli już mężczyźni i kobiety z kufkami piwa. Pogoda uniemożliwiła wszelkie prace na zewnątrz, więc ludzie przyszli do karczmy, żeby się spotkać, wymienić plotkami i zagrzać.

John Indian, niewolnik pastora Parrisa, pracował dziś za barem na zlecenie naszego ojca. Dorabiał w oberży kilka razy

w tygodniu i miał biznes na oku, kiedy ojciec wyjeżdżał. John podniósł wzrok na mnie i skinął głową w stronę rozpalonego kominka, koło którego tyłem do sali stała Sarah Good. Znoszona i obszarpana suknia, którą na sobie miała, nie widziała prania pewnie od roku. Kobieta trzymała małego synka opartego na biodrze, a jej czteroletnia córka, Dorothy, ścisnęła kurczowo suknię matki. Żadne z dzieci nie było ubrane stosownie do letniej pogody.

Pozdrowiłam skinieniem Johna i podeszłam do Sarah. Hope wyszła za mną z kuchni.

Niektórzy ludzie na sali przyglądali się Sarah, szepcząc coś do siebie nawzajem. Wioska Salem była niewielką, rolniczą społecznością oddaloną o jakieś pięć mil na północ od miasteczka Salem. W miejscowości liczącej niewiele ponad tysiąc mieszkańców prawie każdy wiedział wszystko o wszystkich. Z pewnością wszyscy wiedzieli o dotkniętych dziwną chorobą dziewczętach oraz o krążących plotkach na temat czarownic.

Gdy tylko Sarah zobaczyła, że się do niej zbliżam, odwróciła się i wyrwała szybko zawiniątko z moich rąk, mamrocząc pod nosem:

– Tylko tyle?

Jej niemyte ciało i przesiąknięte potem ubrania śmierdziały odrażająco. Ludzie wiedzieli, że William Good, jej mąż, ją porzucił. Kobieta została z dziećmi na łasce sąsiadów, ale przegano ją z domu do domu z powodu jej fatalnych humorów.

– To wszystko, co możemy dać – odpowiedziałam. – Proszę zostać i się ogrzać, jak długo pani będzie potrzebować.

– To wszystko, co możecie dać? – prychnęła Sarah. – Nie jesteś tak wysoko postawiona i wielka, jak ci się wydaje, Grace Eaton. Może i ludzie gadają o mnie, ale o tobie i twojej siostrze gadają jeszcze dłużej.

Hope podeszła o krok, jakby chciała mnie bronić.

– Dałyśmy, co mogłyśmy...

– Dałyście mi tylko to, co wam zbywało – rzuciła Sarah i splunęła.

Inni goście umilkli, a John wyszedł z za baru.

Sarah spojrzała najpierw na Hope, a potem na mnie.

– To takie jak wy powinny żebrać. Z tymi waszymi dziwnymi znamionami i tajemniczymi okolicznościami narodzin. Jedyny powód, dla którego nikt was nie wziął na przesłuchanie, jest taki, że wasz ojciec ma gospodę. – Zrobiła krok do przodu z Dorothy drepzczącą tuż obok. – Czy kiedykolwiek zastanawialiście się nad tym, kim była wasza matka? Dlaczego nikt nie wie, jak miała na imię ani skąd pochodziła?

Hope podeszła bliżej do mnie, a ja wzięłam głębszy wdech i uniosłam podbródek.

– Powinna pani już wyjść – odrzekłam. – Dałyśmy pani, co mogłyśmy.

Sarah wykrzywiła twarz w grymasie, po czym odwróciła się i wyszła z gospody, a w ślad za nią podreptała Dorothy.

Pozostali goście wciąż tylko milczeli, patrząc na mnie i Hope.

To, co powiedziała Sarah, to prawda. Ludzie plotkowali o naszych znamionach i o tajemnicach związanych z naszą matką. Jednak ojciec zakazywał komukolwiek o niej mówić.

Hope odwróciła się plecami do innych i napotkała moje zmarzwione spojrzenie.

– Nie przejmuj się Sarah. Przecież i tak nikt jej nie słucha.

John stanął na swoim miejscu za barem. Pozostali powoli również wracali do swoich napitków i plotek.

Nagle gwałtownie otworzyły się główne drzwi i w środku pojawił się nasz ojciec w czarnym płaszczu.

– Przygotujcie jedzenie i opał – zwrócił się do mnie i Hope. – Zostaliśmy wezwani na plebanię. Stan dziewcząt wielebnego Parrisa się pogorszył. Trzeba coś zrobić.



Sztorm przybrał na sile. Opatulone najgrubszymi płaszczami, rękawicami, szalikami i czapkami szłyśmy razem z Hope ćwierć mili, bo o tyle oberża była oddalona od domu pastora. Nasze posiadłości przylegały do siebie, ale dzielił je zagajnik, więc wybrałyśmy drogę do Andover, żeby uniknąć kałuży, choć i tak na niewiele się to zdało. Deszcz ze śniegiem smagał mnie po twarzy, więc musiałam iść ze spuszczoną głową.

Dół mojej niebieskiej sukni miałam cały ubłocony, a buty przemoczone. Niosłam kosz z jedzeniem dla rodziny Parrisów, a Hope dźwigała wiązkę drewna na opał. Szłyśmy za ojcem jak posłuszne córki, choć Hope mamrotała coś pod nosem.

Wolałaby być teraz w 1912 roku. Obie byśmy wołały. Jednak Bóg wybrał dla nas również taką epokę i miałyśmy tu zadanie do wypełnienia.

Wkrótce zeszliśmy z drogi na podjazd prowadzący na plebanię. Na spotkanie wyszedł nam przemoczony do szpiku kości pies. Pomachał ogonem na powitanie i podreptał za nami ścieżką.

Brązowy dom pastora był wysoki i wąski, z dwoma pokojami na parterze i dwoma na piętrze. Dzięki temu, że komin umiejscowiono centralnie, w każdym pokoju znajdował się kominek. Kościół wybudował ten dom wiele lat temu i do tej pory gościł już kilku różnych opiekunów parafii. Rodzina Parrisów wprowadziła się tu trzy lata temu, ale już od samego początku Samuel Parris stał się źródłem podziałów w wiosce. Nieubłaganie głosił konieczność ścisłego przestrzegania purytańskich przepisów, choć wielu parafian popierało Przymierze Połowy Drogi, odłam Kościoła, który dawał więcej wolności w myśleniu i zachowaniu. Z tego powodu połowa miasta nie popierała nowego pastora i odmówiła łożenia na jego pensję czy dostarczania

mu drewna na opał. Rodzinę Parrisów czekała długa i mroźna zima.

Ojciec zapukał mocno do głównych drzwi i zaraz potem otworzyła nam Tituba, niewolnica Parrisów i żona Johna Indiany. Spuściła wzrok i otworzyła szerzej, by wpuścić nas do środka.

– Pan Eaton – zawołał pastor Parris, podnosząc się z fotela koło kominka. – Witajcie.

W zimnym pokoju przebywało jeszcze trzech innych mężczyzn, a ich posępne oblicza przepelniała obawa. Dwóch z nich należało do rodziny Putnamów, najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w wiosce. Trzeci pełnił posługę diakona w tułtejszym kościele, podobnie jak ojciec.

– Zanieście prowiant do kuchni – przykazał nam ojciec. – I pomóżcie coś.

Tituba zamknęła za nami drzwi i poszłyśmy za nią przez duży pokój do mieszczącej się na tyłach kuchni. Tam przy stole siedziała pani Parris. Patrzyła na ponury świat za oknem.

Choć w kominku się paliło, w pomieszczeniach panował chłód i spowijał je półmrok. Ciemne ściany przenikało coś upiornego i złowrogiego, sprawiając, że powietrze wydawało się wręcz gęste.

Gdzie były dziewczęta?

– Dzień dobry, pani Parris – odezwałam się. – Przynieśliśmy jedzenie i opał.

Podniosła wzrok i spojrzała na nas, mrugając szybko, jakby wyrwana ze stanu otępienia. Głębokie zmarszczki i cienie pod oczami zdradzały zmęczenie.

– Niech Bóg wam błogosławi – powiedziała, wstając z miejsca. – Zawsze, gdy wydaje mi się, że już nie będziemy mieli co jeść i czym palić, Bóg zapewnia nam to, czego potrzebujemy.

Tituba podeszła do paleniska i wyjęła chleb z pieca. Pani Parris spojrzała na nią z taką nieufnością, że aż mnie przeszył dreszcz.

Odstawiłam koszyk na stół, a Hope położyła drewno koło drzwi. Wzdrygnęła się na odgłos pukania.

– A któż to przybył w taką gwałtowną pogodę? – zapytała pani Parris. – Mam nadzieję, że nie jakiś kolejny mężczyzna, żeby się gapić na moje biedne dziecko.

Tituba otworzyła drzwi. W wejściu rzeczywiście stał mężczyzna. Kapelusz z szerokim rondem miał nisko naciągnięty na czoło, ale natychmiast go rozpoznałam.

– To Isaac Abbott – powiedziałam z uśmiechem, bo od razu zrobiło mi się cieplej na sercu.

Spojrzał na mnie i dostrzegł mój uśmiech. Wydawał się równie zaskoczony i ucieszony na mój widok. Jego niebieskie oczy, tak zawsze życzliwe, od razu objęły całe pomieszczenie, po czym skinął głową w kierunku Hope. Ona odwzajemniła pozdrowienie, choć nie wydawała się równie zadowolona ze spotkania z naszym starym przyjacielem.

– Dobrodziej Abbott – rzekła pani Parris z wyraźną ulgą. – Co pana dziś do nas sprowadza?

Wszedł do niewielkiej kuchni, ściągnął kapelusz i zamknął za sobą drzwi.

– Przyszedłem z wiązką na opał. Nie ma tego dużo, ale powinno wystarczyć na tydzień.

– Niech Bóg panu błogosławi – powiedziała starsza kobieta ze łzami w oczach.

– Pani Parris? – rozległ się stanowczy głos pastora Parrisa. – Proszę przyprowadzić Titubę i dziewczęta do nas.

Kobieta na moment zamknęła powieki, jakby odmawiała modlitwę, po czym skinęła na Titubę, dając jej znać, by za nią poszła.

Opuściły kuchnię, a ja podeszłam do Isaaca. Był wysoki i miał szerokie ramiona już jako młodzieniec, ale teraz, odkąd przejął rodzinne gospodarstwo, jeszcze bardziej zmężniał. Jego obecność

była dla mnie pocieszeniem, choć sama nie wiedziałam, co takiego mógłby zrobić, by uspokoić moje obawy.

– Czy te pogłoski są prawdą? – zapytał cicho.

– Nie wiem – odparłam. – Sama jeszcze nie widziałam dziewcząt.

Isaac zerknął w stronę Hope i dostrzegłam w jego oczach tęsknotę. Ścisnął w rękach kapelusz i rzekł:

– Pięknie dziś wyglądasz, Hope.

Siostra zabrała się za układanie drewna.

– Dziękuję, Isaacu – mruknęła, ale nawet nie raczyła na niego spojrzeć.

Isaac już od trzynastego roku życia kochał się w mojej olśniewającej siostrze, jednak ona nigdy nawet nie dała mu sposobności, by powiedział jej o swoich uczuciach. Wręcz przeciwnie, od lat starała się go do siebie zniechęcić.

I miała rację. Nie zamierzałyśmy zostać w 1692 roku i odrzucaliśmy absztyfikantów, którzy próbowali się do nas zalecać. Nie było to trudne, jako że w naszej społeczności żyło więcej kobiet niż mężczyzn z powodu wojny króla Wilhelma i napływu kobiet, które uciekały z Maine.

Ale nawet gdybyśmy planowały tu zostać, nie sądziłam, by Hope mogła być nim zainteresowana. Isaac był wierny, życzliwy i godny zaufania.

Innymi słowy nudny w ocenie Hope.

Dla mnie Isaac był najlepszym przyjacielem, najbliższą mi osobą zaraz po siostrze. Jeśli miałabym zostać w wiosce Salem, mogłabym się w nim zakochać. Chociaż on nigdy tak na mnie nie patrzył, bo żyłam w cieniu Hope – zarówno tutaj, jak i w 1912.

Jakieś ożywienie w dużym pokoju sprawiło, że podskoczyłam. Powietrze wypełniły zawodzenie i krzyki. Coś uderzyło o ścianę.

Hope popatrzyła na mnie, a jej zwykle nieustraszone spojrzenie przepełniał niepokój.

– Rozpakuję drewno na opał – oświadczył Isaac, po czym szybko wyszedł z kuchni, wpuszczając podmuch zimnego powietrza do domu.

Drzwi prowadzące do dużego pokoju otworzyły się z trzaskiem, więc podeszłam, żeby zobaczyć dziewczętą.

– Chodź – powiedział ojciec, gdy mnie dostrzegł. – Zobacz sobie, co guślarstwo ściągnęło na ten dom.

Otworzyłam szerzej drzwi i przyglądałam się scenie rozgrywającej się przed moimi oczami.

Dziewięcioletnia Betty Parris leżała na podłodze, skręcając się w konwulsjach. Jej ciało wyglądało jak powyginane przez nieludzką siłę. Z kolei jej dwunastoletnia kuzynka Abigail siedziała na krześle, naprzemiennie krzycząc z bólu i machając ręką, jakby odganiała kogoś, kto ją atakuje.

– Ich stan się pogarsza – ocenił wielebny Parris poważnym tonem. – Pięć dni temu Tituba przygotowała żytni podpłomyk z uryną dziewczynek i nakarmiła nim psa. Jej biała magia tylko pogłębiła ich dolegliwości.

Zawodzenie dziewcząt przybrało na sile, a Abigail rzuciła się na ziemię, tak jak jej kuzynka Betty. Obie wiły się w spazmach i drgawkach.

Słyszałam już o tej białej magii, o której wspominał wielebny Parris. Po zjedzeniu takiego podpłomyka pies miał wskazać na osobę, która rzuciła czar na dziewczętą. Jednak według pastora przyczyniło się to tylko do pogorszenia stanu jego córki i siostrzenicy.

– Kto rzucił na was czar? – zapytał Thomas Putnam. Jego córka, Ann, również cierpiała na podobne dolegliwości w domu.

– Podajcie imię!

– Tituba rzuciła na nas czary – wykrzyknęła Betty.

– Nie... – Tituba pokręciła głową i cofnęła się o krok.

– I dobrodziejka Good rzuciła na mnie czary – mówiła dalej Betty.

– Ktoś jeszcze? – zapytał pan Putnam, wcale nie kwestionując tych zarzutów, ale przyjmując je za pewnik.

– Dobrodziejka Osborn – wyjęczała Abigail. – To dobrodziejka Osborn rzuciła na mnie czar.

– Nie trzeba nam już nic więcej – oświadczył pan Putnam. – Moja córka Ann i Elizabeth Hubbard wymieniają te same kobiety.

– Musimy sprowadzić je na przesłuchanie – powiedział pastor Parris. – W przeciwnym razie cierpienia mojej córki i siostrzenicy nigdy się nie skończą.

– Każemy je sprowadzić do Oberży Eatona – zapowiedział pan Putnam. – Tam zostaną przesłuchane pierwszego marca. Zgadza się? – Spojrzał na zgromadzonych mężczyzn i każdy z nich potwierdził skinieniem głowy.

Zerknęłam na Titubę, która w milczeniu pokręciła głową. Popatrzyła na dziewczęta, a następnie na mężczyzn. W jej oczach widziałam przerażenie, ale nic nie powiedziała.

Zaczęło się.